

A photograph of the Brooklyn Bridge spanning the East River in New York City. The bridge's massive stone towers and suspension cables are prominent. In the background, the Manhattan skyline is visible, including the Empire State Building. The sky is filled with large, white, fluffy clouds. The water of the river is in the foreground, reflecting the bridge and the sky.

SYLWIA WÓJCIK

BROOKLIŃSKA PIĄTKA
część pierwsza

www.sensownie.pl

Niniejszy ebook jest własnością prywatną.

Został zakupiony legalnie w serwisie www.sensownie.pl

Niniejsza publikacja, ani żadna jej część, nie może być kopiowana, ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana, powielana, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy. Zabrania się jej publicznego udostępniania w Internecie oraz odsprzedaży zgodnie z regulaminem Wydawnictwo i Szkolenia Przemysław Pufal.

© Copyright for Polish edition by **Wydawnictwo i Szkolenia Przemysław Pufal**

Data: 30.10.2012 r.

Tytuł: Brooklińska piątka

Autor: Sylwia Wójcik

Wydanie I

ISBN: 978-83-62831-17-3

Projekt graficzny Sylwia Wójcik

Korekta, skład: Wydawnictwo i Szkolenia Przemysław Pufal

Wydawnictwo i Szkolenia Przemysław Pufal

ul. Melchiora Wańkowicza 9/6

77-400 Złotów

WWW: www.sensownie.pl

e-mail: sensownie@sensownie.pl

Autor oraz Wydawnictwo i Szkolenia Przemysław Pufal nie biorą żadnej odpowiedzialności za informacje zawarte w tej książce, ich wykorzystanie, za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo i Szkolenia Przemysław Pufal nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

All rights reserved.

SYLWIA WÓJCIK

BROOKLIŃSKA PIĄTKA

CZĘŚĆ PIERWSZA

Kanwą powieści były rzeczywiste realia zaobserwowane w trakcie codziennego życia polskiej imigrantki żyjącej w Nowym Yorku, jednakże postaci oraz opowiedziane wydarzenia są fikcyjne.

- Bo ty, Grażka, to naiwna jesteś... – westchnęła Żabcia, stukając niewyobrażalnie długim, jaskrawo wymalowanym paznokciem w zielone szkło butelki piwa Heineken. – Ludzie dzielą się na takich, co to kierują się dobrem swojej rodziny i na tych, co to wszystko robią tylko dla siebie. W sumie wychodzi na jedno, ale pierwsze po prostu ładniej brzmi.

Żabcia naprawdę nazywała się Michalina Szyszałek, co przysparzało jej nieustannych problemów, szczególnie odkąd wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Należała do tych szczęśliwych kobiet, które wyglądają jak wycięte z żurnala bez względu na to, co robią. Nigdy się nie odchudzała i nadal nosiła spodnie w rozmiarze 4, mimo bliskiej czterdziestki. Teraz spojrzała wyczekująco w stronę niskiej, korpulentnej blondynki, siedzącej na sąsiednim leżaku. Ta wyglądała na mocno dotkniętą jej wypowiedzią i sarknęła:

- Może! Ale wolę moją naiwność niż ten twój cynizm...

- Jasne, laluś, i tylko popatrz, dokąd cię ta twoja naiwność zaprowadziła... – Żabcia wymownym spojrzeniem omiotła otoczenie. Siedziały mianowicie obie nad basenem luksusowej posiadłości, należącej do pracodawców wspomnianej Grażki, ludzi piekielnie zamożnych i niewyobrażalnie skąpych. – To twój pierwszy wolny dzień od... Jezu! Nawet nie pamiętam od kiedy! Orzą tobą jak wołem roboczym, a ty nic, uśmiechnięta od ucha do ucha, tyrasz za trzech przy tych bachach nieznośnych po osiemnaście godzin dziennie...

Nie wspomniała przy tym, że ten jedyny od stuleci wolny dzień Grażka zawdzięczała jedynie temu, że niania rodziny, którą jej pracodawcy właśnie odwiedzali, nie tolerowała na swoim terenie innych opiekunek, twierdząc, że sama doskonale poradzi sobie z tabunem rozwrzeszczanych dzieciaków i,

o dziwo, rzeczywiście sobie radziła. Gdyby nie twarda postawa owej Hundy czy jak tam jej było na imię, Grażka i dziś uganiałaby się za czworgiem pociech państwa Steinbach mniej więcej do północy, wykonując w międzyczasie jakąś niezliczoną ilość prac domowych, jako że dodatkowe zatrudnienie gosposi nawet na do-chodne zdecydowanie przekraczało budżet przeznaczony przez pana Steinbacha na dom .

Grażka, czyli Grażyna Malinowska, zwykła, mało wymagająca dziewczyna z Suwalskiego, godziła się na mało lukratywne zarobki i piekielnie ciężką pracę, nauczona tak bowiem od dzieciństwa, wierzyła święcie, że posiadaną pracę, jaka by nie była, należy szanować, bo o inną może nie być łatwo. Żabcia odkąd tylko poznała tę smarkulę (no, młodsza metrykowo to ona była z dziesięć lat, ale doświadczeniem życiowym plasowała się tak na poziomie przedszkola), próbowała jej przemówić do rozumu, proponowała, że pomoże jej znaleźć lepiej płatną i przyjemniejszą pracę, ale Grażka uparcie trwała na stanowisku. Michalina podejrzewała, że dziewczyna zwyczajnie się boi zmian i pełna była podziwu, że odważyła się przy takiej osobowości na tak ryzykowne i odważne posunięcie jak wyjazd do Stanów. Bała się pewno i tego, że już dawno przekroczyła termin ważności swojej wizy turystycznej i zwyczajnie znalazła się na tzw. „nielegalu”, jak miliony innych, siedziała więc cicho jak myszka i znosiła wszelkie upokorzenia ze strony czworga smarkaczy. No cóż, ona, Michalina, robiła, co mogła, żeby tej gęsi jakoś pomóc, ale przecież nie da się nikogo uszczęśliwić na siłę.

- Ty tak mówisz... – wróciła tymczasem do tematu Grażka, sącząc jakiegoś kolorowego, wymyślnego drinka, w którym, jak podejrzewała słusznie jej przyjaciółka, nie było zbyt wiele alkoholu. – A przecież tylu ludzi robi wiele dla innych, a te wszystkie bale charytatywne, datki....

- Jezusieńku, ty to mnie normalnie zabijasz – jęknęła teatralnie

Michalina – jakie charytatywne?! To ty nie wiesz, głupia, że oni od podatków uciekają? Tu datek, tam charytatywna imprezka, przy okazji której zresztą całe stado pawianów nażre się za friko i ochla po uszy, przecież oni to wszystko sobie potem odpisują od podatków, i wszystko im się piękniutko zwraca, a ty głupia jeszcze do tego dokładasz, płacąc podatki, na które cię nie stać. I oni właśnie na takich, jak ty, żerują. Płacą ci marne grosze i jeszcze pranie mózgu robią – to mówiąc, wstała zgrabnie ze swojego leżaczka, by udać się po kolejne zimne piwo do spiżarki, wypełnionej po sufit różnymi frykasami. O dziwo, pan Steinbach w tej akurat kwestii skąpy nie był. Lubi sobie pańcio podjąć i wypić, pomyślała przy okazji, zerkając pobieżnie na zawartość pomieszczenia. Spiżarnia, wyposażona w specjalnie zamówiony system chłodzenia, wypełniona była po brzegi drogimi alkoholami, kartonami różnych piw i soków, a półki praktycznie ugięły się pod ciężarem frykasów, z których zdecydowana większość pochodziła z różnych eleganckich sklepów z tak zwaną zdrową żywnością, która od normalnej różniła się na pewno jednym, ceną. Cóż, Michalina na swoje zarobki nie narzekała, ale tam to ona raczej zakupów nie robiła. Zgarnęła więc z półki kilka opakowań serów o wystarczająco francusko brzmiących nazwach: Belletoille, Valfrais i Bleu D’Auvergne, jakieś orzeszki i kolejne zimne piwo.

- Dobrze chociaż, że możesz swobodnie ze spiżarki korzystać – kontynuowała swój wywód, rozkładając przyniesione dobra na małym stolyczku pod parasolką. – Na żarcie to oni raczej nie skąpią, chociaż nie wiem, czym ty te ich dzieci karmisz, bo jakoś nic odpowiedniego mi w oko nie wpadło...

Tymczasem Grażka wpatrywała się osłupiałym wzrokiem w sery, które Michalina z wyraźną wprawą rozkładała na zgarniętej po drodze specjalnej marmurowej desce do krojenia.

– Strasznie ciężkie draństwo - stwierdziła, widząc wzrok Grażyny, utkwiony w kawałku kamienia – ale dobrym serom należy się odpowiednia

oprawa. O psiakość, krakersików zapomniałam! Zaraz wracam – i pobiegła z powrotem.

Grażyna próbowała w tym czasie obliczyć, ile to wszystko razem kosztowało i czy wystarczy jej kolejnej pensji na pokrycie tej imprezki. Nie wspomniała bowiem przyjaciółce, że korzystać ze spizarki w swój dzień wolny, owszem, może, ale z zaznaczeniem, że koszty zostaną potrącone z wypłaty. Nie miała odwagi przyznać się do kolejnego poniżenia, na które spokojnie przystała. Oczywiście, nie można oczekiwać, by pracodawca fundował jej drogie sery, choć zważywszy permanentny brak świątecznych bonusów i pracę po godzinach... Ze zdziwieniem uświadomiła sobie nagle, że chyba zaczyna się buntować. No bo faktycznie! Tyrała dla tych ludzi od prawie pięciu lat, robiąc za niańkę, kucharkę, praczkę, sprzątaczkę, a także praktycznie zastępując oboje rodziców w szeroko pojętych obowiązkach wychowawczych i co, głupiego serka im było dla niej szkoda?! No bo ile one mogą we dwie z tej spizarki zeżreć w ciągu kilku godzin! I tak co tydzień wyrzucali jakieś koszmarnie ilości przeterminowanego jedzenia. No, właściwie to pakowali w wory i gdzieś tam wywozili, podobno dla ubogich dzieci czy coś. Francuskie sery z pleśnią na pewno bardziej będą smakować im dwóm, dorosłym kobietom o wyrafinowanych smakach niż jakimś tam biedakom, co do których istnienia miała poważne wątpliwości. Poza tym mają ich tam tyle, że chyba braku kilku nie zauważą – pocieszyła się na koniec.

*

Sabina Kalinowska czuła się raczej kiepsko od kilku dni. Jakaś taka była zmęczona i do tego ta nieznośna zgaga. I jeszcze straszna chęć na lody, mogła je w tej chwili jeść na hektolitry, a przecież tyle wysiłku ją kosztowało

zrzucenie tych piętnastu kilo i wykształcenie sobie zdrowych nawyków żywieniowych. A dziś od samego rana bez mała co godzinę biegła do toalety. Może złapałam jakąś dziwną grypę żołądkową albo tę bakterię, co to mówiła ciocia Bronka – pomyślała z nadzieją, choć coś w jej wnętrzu mówiło wyraźnie, że wprost przeciwnie. Bakteria cioci Bronki co prawda też przejawiała się zgagą, ale nie aż tak uporczywą, żeby nie odpuszczać przez tydzień. A grypa żołądkowa przypomniała jej scenę z filmu „Ludzie, kto to mówi”.

No nie, tylko nie to! Nie teraz, kiedy zrozumiała, że dziecko niczego i tak w ich małżeństwie nie poprawi i właśnie zamierzała zacząć brać pigułki. Wiedziała od początku, że Piotrek jej nie kochał i ożenił się z nią tylko dla papierów. Miał gnojek farta, bo w sumie raczej tanio go wyniosło to papierowe małżeństwo. Całą imprezę sfinansowali jej rodzice, którzy co prawda nie byli ani tak zaślepieni ani tak zakochani jak ich jedynaczka i zdawali sobie sprawę z charakteru zięcia, ale kochali córkę i skoro ona uważała, że mimo wszystko może być z nim szczęśliwa, niech jej będzie.

W sumie nie był złym mężem, choć podejrzewała, że ma kochankę, może nawet kilka. W zasadzie przystojny i bardzo urokliwy, stanowił nawet interesujące towarzystwo, o ile tylko był w domu i chciało mu się poświęcić żonie trochę uwagi. Na zewnątrz oczywiście sprawiali wrażenie bardzo udanego związku, bywali towarzysko i nie mogła mu nic zarzucić z wyjątkiem jednego wesela, kiedy nie zatańczył z nią nawet jednej piosenki i spędził cały wieczór, popijając drinki w towarzystwie seksownej barmanki. Tak potem szczerze przeproszał, że chciała mu wierzyć. Zresztą zawsze chciała mu wierzyć, kiedy mówił, że jest jej wierny, że zdrada nie leży w jego charakterze, takie tam. Tyle tylko, że ostatnio jakoś coraz rzadziej bywał w domu, jeżdżąc na jakieś delegacje, wracał późno i zbyt zmęczony na rozmowę. Albo nagle stawał się przesadnie miły i troskliwy, obsypywał ją komplementami,

uwodził....

Cóż, pierwsze zakochanie powoli jej mijało, a ponieważ ze strony Piotrka nie widziała nawet śladu uczucia, zaczynała myśleć, jak by się wyplątać z całej tej historii. Wiedziała, że dopóki jego sytuacja prawna nie będzie pewna, nie ma specjalnych szans, żeby zgodził się na polubowne rozstanie. Tym bardziej, że jedynym powodem, jaki mogła podać, była utrata złudzeń. Bo przecież na początku naprawdę miała nadzieję, że może z czasem uda jej się jakoś ogrzać to zimne na razie małżeństwo, że może z czasem Piotrek odwzajemni choć część jej uczucia. Nawet pomyślała przez chwilę, że dziecko mogłoby coś zmienić. Tylko, że już chyba przestała na to liczyć. Piotrek był wobec niej miły, czasami wręcz przesadnie i nic ponadto. A jakoś nie czuła się na siłach uzasadnić rozpadu pożycia oszustwem uczuciowym z jego strony, tym bardziej, że niczego jej nie obiecywał, przecież od początku dobrze wiedziała, że on jej nie kocha i to ona okazałaby się hipokrytką, zarzucając mu nieuczciwość.

Więc teraz to byłby naprawdę najgorszy moment z możliwych. Ostatnio nawet dał jej wyraźnie do zrozumienia, że on raczej za dziećmi nie przepada i wolałby, żeby ich małżeństwo pozostało tym, czym było do tej pory: wygodnym układem. Miała ochotę wykrzyknąć mu prosto w ten jego uprzejmy, sztuczny uśmiech: dla kogo wygodnym, dupku?! Chyba tylko dla ciebie, bo ja jak na razie nic z tego pozał się Boże małżeństwa nie mam!

Bo rzeczywiście raczej wiele na tym związku nie zyskała. Finanse i tak mieli oddzielne, opłatami dzielili się sprawiedliwie, tak samo wydatkami na jedzenie. Jasne, miała swojego wymarzonego Piotrusia na własność. Tylko czy na pewno? Może w tym sensie, że jednak to do niej wracał i to jej obiady zjadał. Raczej marny zysk, prawda?

Sabina poczuła, jak ogarnia ją nagła fala paniki. Zrobiło jej się

niedobrze. Usiadła na kanapie i zapatrzyła się w okno. Na kuchennym stole spoczywała sterta warzyw do pokrojenia, ale sama myśl, by podnieść się i zacząć szykować obiad dla tego w sumie całkiem obcego faceta, którego specjalnie nie obchodziła, przyprawiła ją o dodatkową falę mdłości.

No to pięknie, pomyślała z rozpaczą.

*

- No i wydrukowali mi tekst, wyobrażasz sobie?! Ta redaktorka to jakaś skończona idiotka jest! A ten, co ją zrobił naczelną, to chyba w ogóle jakiś oszołom! – bulgotała do słuchawki rozgorączkowana i wściekła Matylda Pawelec.

- Poczekaj chwileczkę – przerwała jej Żabcia, przełączając rozmowę na głośnik i wygodnie sadowiając się na fotelu. Rozłożyła na stoliku przybory do manikiuru i pociągnęła łyk świeżo zaparzonej kawy. Właśnie wróciła z „hucznej” balangi u Grażki. - No to nawijaj, tylko po kolei, najlepiej od początku.

- Ta krowa ma jeszcze czelność się dziwić, bo to JA się do nich zwróciłam, więc... –Matylda zachłysnęła się nagle, uświadamiając sobie, że Michalina coś do niej powiedziała. – A, ok., chcesz od początku. Dobra, spróbuję, ale powiem ci, że mają szczęście, że akurat jestem uziemiona w budzie, bo normalnie bym bilet kupiła, poleciała i natrzaskała po wrednych pyskach.

- Miało być od początku – delikatnie upomniała ją koleżanka, czując, że zanoszą się na naprawdę długą pogawędkę, bo samo skłonienie Matyldy do dokładnego opowiedzenia, co się stało, może jej zająć jakiś rok. – Opanuj się troszeczkę. Czasu nie masz, nie polecisz, a ja ci krzywdy nie zrobiłam,

więc przestań na mnie wrzeszczeć.

- Dzięki, Żabcia – odetchnęła nieco już uspokojona Matylda. – Ty jedna zawsze potrafisz sprowadzić mnie na ziemię... Pamiętasz, mówiłam ci, że napisałam te dwa krótkie teksty o miniaturach i powysyłałam do wszystkich polskich gazet, jakie mi tylko przyszły do głowy. Z pytaniem, czy byliby zainteresowani ich publikacją. No więc, wydawałoby się, proste pytanie, wymagające prostej odpowiedzi, nie? – zasyczała ironicznie.

- No... – przytaknęła z wahaniem Michalina. Z niemym westchnieniem spojrzała na gazetę z programem telewizyjnym, uświadamiając sobie, że chyba jednak nie obejrzy swojego ulubionego sit-comu.

- No toteż! – wykrzyknęła, na nowo się unosząc, Matylda. – Niektóre pisma się w ogóle nie odezwały, niektóre odpowiedziały, że owszem, temat wydaje im się ciekawy i że skontaktują się, jak nadarzy się okazja publikacji, bla bla bla. Kilka okazało się być pismami lokalnymi, więc jakbym była z ich miastem jakoś związana, to oni chętnie. No to pomyślałam, dobra, spróbuję u siebie. Wiesz, nie liczyłam zbyttnio, bo wiem, jak takie lokalne pisma działają, ale co szkodzi spróbować.... Sama mi zawsze mówiłaś, że trzeba próbować – zabrzmiało to niemal jak wyrzut.

- Racja, kochana – przytwierdziła Żabcia, zastanawiając się jednocześnie, czy aby nie przesadziła z tymi dobrymi radami, bo za chwilę jeszcze się okaże, że ta cała katastrofa, której istoty na razie nie zdołała poznać, to nie mniej nie więcej tylko jej wina.

- No i odezwała się laska, och jaka zachwycona, taki ciekawy temat i w ogóle, czy mogłabym się z nią spotkać. Ja jej na to, że sorry, ja w Njujorku tkwię, ale mejlami możemy się chyba dogadać. Ona, że spoko...

Michalina zrezygnowanym gestem zamknęła gazetę z programem,

czując, że chyba będzie tu potrzeba jakiejś terapii przy winie czy czegoś równie drastycznego, bo z głosu Matyldy przebijały tony wyraźnej rozpacz.

- No i dalej, że bardzo jest to wszystko ciekawe, więc ona poprosiłaby jeszcze tylko o odpowiedzi na kilka pytań i moje zdjęcie z jakimś domkiem. No to co byś pomyślała na moim miejscu? – Matylda dramatycznie zawiesiła głos, po czym, nie doczekawszy się odpowiedzi, kontynuowała. – Bo ja się ucieszyłam jak jaka głupia. Super, opublikują mi tekst, może nawet oba i jeszcze opatrzą komentarzem i zdjęciami, tak? No to mam!

Michalina aż podskoczyła na ostatni okrzyk. Tak, Matyldą zdecydowanie szarpały burzliwe emocje. Co oni mogli takiego wykombinować w tym pisemku?!

- Jeszcze mi gropa linka do portalu wysłała, bo to na portalu opublikowali, rozumiesz, oczekując najwyraźniej pień pochwalnych z mojej strony. No to zaglądam tam i co widzę?! – po raz kolejny zawiesiła wymownie głos, ale tylko na moment. - Pseudo-wywiad, sklejonny byle jak z powycinanych fragmentów tych moich odpowiedzi, wybranych byle jak i opatrzonych kilkoma zdaniem zupełnie nieuzasadnionych komentarzy i informacji nie wiem skąd wytrzaśniętych... Ale wiesz, co jest najgorsze???? -No? – zachęciła Michalina, domyślając się, że koleżanka oczekuje potwierdzenia, że jej rozmówcy słucha uważnie i współczuje. Westchnęła przy tym w duchu, zastanawiając się przelotnie, dlaczego te dziewczyny są takie naiwne i niczego się nie uczą. Chociażby od niej, jak widać o wiele mądrzejszej i bardziej doświadczonej.

- No nie widzisz tego?! Już nie chodzi nawet o jakość tego TEKSTU! – wyraźnie podkreśliła ostatnie słowo. – Ale ta gropa nie napisała mi wyraźnie, że nie opublikuje mojego tekstu, a jedynie krótką notkę na mój temat, taki

pseudo-wywiad, który przecież powinna mi chociaż dać do autoryzacji, a w ogóle zapytać, czy jestem tym zainteresowana i czy zgadzam się na publikację tego typu tekstu i w ogóle.

- Czekaj! – przerwała jej Żabcia, kończąc właśnie malowanie drugiego paznokcia. – Ale nie napisała Ci też nigdzie, że go opublikuje, tak?

- No tak – przyznała niechętnie Matylda, ale niemal natychmiast odzyskała animusz. – No, ale skoro wysłałam tekst z wyraźnym pytaniem, czy byliby zainteresowani jego publikacją, to miałam chyba prawo uznać, że tak, skoro nie stwierdziła inaczej. A poza tym powinna jasno to napisać: Niestety, format pisma nie pozwala na opublikowanie Pani tekstu, ale chcielibyśmy napisać krótką notkę na Pani temat i jeśli Pani wyraża zgodę, proszę o odpowiedzi na podane pytania... no czy coś w tym stylu...

Po krótkim wahaniu Michalina musiała jednak Matyldzie przyznać trochę racji.

- Albo przynajmniej dać mi to, co z takim wielkim trudem stworzyła, do jakiejś weryfikacji, bo wpakowała tam co najmniej dwie niczym nieuzasadnione, błędne informacje, a na dodatek tak powybierała fragmenty i położyła nacisk na określone aspekty, że zrobiła z mojej pracy jakąś niepoważną zabawę lalkami. I jeszcze ten tytuł!- prychnęła do słuchawki Matylda. – Małe domki dla dużych kobiet. Też coś! Ja sobie wypraszam!

- Fakt, tytuł przesadnie dwuznaczny – przyznała Michalina, doskonale świadoma matyldzinej obsesji na tle jej wyglądu i domniemanej otyłości. Zdaniem Żabci, istoty przecież szczupłej i wysportowanej, Matylda nie miała się czego wstydzić, będąc postawną, dobrze zbudowaną i atrakcyjną kobietą. Tym niemniej Matylda nieustannie podejmowała katorżnicze wysiłki, niejednokrotnie w towarzystwie drugiej wariatki, Sabiny, by pozbyć się tej mitycznej nadwagi. Nazwanie „dużą kobietą” rzeczywiście musiało jej dopiec do żywego.

- Już pomijając fakt, że miniaturami zajmują się nie tylko kobiety, a może nawet więcej jest facetów niż kobiet, to ja nie wiem, czy warto w tym zaścianku cokolwiek propagować. Bo tam ktoś skomentował, że w tekście nie ma nic na ten temat, czy ja zamierzam to hobby propagować w naszym mieście po powrocie, a jeśli nie, to sprawa nie zasługuje na umieszczenie w dziale wydarzeń miasta. Zaścianek, zapatrzony tylko w swoje malutkie miasteczko – po raz kolejny prychnęła jadem. – Nic tam nie będę promować! Nie warto!

- No i racja – przytaknęła żwawo Michalina, która była zresztą od samego początku zdania, że jakkolwiek próba zainteresowania ludzi w Polsce miniaturami może i ma jakiś sens, choć jej zdaniem niewielki, to na pewno nie na takim „zadupiu”, z jakiego pochodziła Matylda. Może w Warszawie, w Trójmieście, Krakowie, ale w tym całym Ćminku czy jak to się tam nazywało... Swoją drogą, co to się porobiło, żeby taka wiocha miała swoją lokalną gazetę i jeszcze do tego dział wydarzeń miasta, jakby to w ogóle miasto było.

- Ale czekaj, bo to jeszcze nie koniec! – wykrzyknęła Matylda z mocą. – Napisałam do tej pożałuj Boże redaktorki, że mi się ten tekst nie podoba i że tak się tego typu spraw nie załatwia. Że wyrobiła sobie moim kosztem wierszówkę, a w każdym razie bez specjalnego wysiłku zapełniła parę linijek itd. I co ona mi na to, myślisz?! Że format pisma, że nie publikują poradników, ta idiotka nawet chyba tych tekstów nie raczyła przeczytać, skoro jej się wydaje, że to miały być poradniki, że dlatego właśnie nie publikują o hobbystach, bo tym się wydaje, że najlepiej wiedzą, jak to powinno być napisane, a owszem, chyba jednak lepiej wiem, jak należy pisać, sądząc po jej dziele – Matylda nadawała jak karabin, nie kończąc raz zaczętego zdania, – że dla mnie łaskawie zrobiła wyjątek i jest jej przykro, że tak zareagowałam, wyobrażasz sobie, że pytania były już autoryzacją, Jezu, przecież to jakaś

koszmarna bzdura, i że w ogóle to ja się do nich zgłosiłam i oni mi uprzejmość, a ja na nich z pyskiem... – tu ją nareszcie zatchnęło. – Jeśli to jest zgodne z prawem prasowym, to my mamy jakieś bardzo dziwne to prawo – zakończyła z westchnieniem rezygnacji.

- A gdzie ja bym to mogła przeczytać? – zapytała wyraźnie zaciekawiona Michalina, rozumiejąc już dokładnie powody wściekłości Matyldy. Sama by chyba też pluła jadem albo i gorzej na jej miejscu.

- No właśnie rzecz w tym, że już nigdzie! – wykrzyknęła tryumfalnie przyjaciółka. – I to dla mnie wystarczający dowód, że to całe jej tłumaczenie jest funta kłaków niewarte i że delikatnie mówiąc, spieprzyła sprawę od początku do końca. Otóż – tu zawiesiła głos, wyraźnie chcąc spotęgować napięcie – tuż po moim mailu do niej, tekst z portalu zniknął i jak sądzę, nie istnieje już żaden dowód, że kiedykolwiek istniał. Gwarantuję, że wiedzieli, że mam podstawy, by ich zaskarżyć, więc się postarali, żebym nie mogła i tyle.

- Na to wygląda – przyznała Michalina, kończąc malowanie ostatniego paznokcia stopy i przyglądając się z zadowoleniem uzyskanemu efektowi. – Słuchaj, przykro mi, że tak cię potraktowali, ale sama widzisz, że jednak mam trochę racji...

- Niestety – westchnęła nagle zrezygnowana niedoszła autorka. – A ja zawsze myślałam, że przesadzasz z tym swoim cynizmem i pesymizmem.

- Ejże! – zaprotestowała żywo Żabcia. – Ja nie jestem pesymistką, tylko realistką, a to olbrzymia różnica. Dlatego zawsze twierdzę, że trzeba próbować, bo może się udać. Ale lepiej nastawić się na możliwą porażkę. Przynajmniej rozczarowanie mniejsze, a jak jednak się uda, tym większa radość, bo wcale się tego nie spodziewałaś – cierpliwie powtórzyła swoją filozofię. Próbowała ją

niemalże każdego dnia wkładać do głów tych swoich szurniętych przyjaciółek, które - mimo niezliczonych porażek - wciąż patrzyły na świat przez różowe okulary.

- No wiem... tylko dla mnie to jakaś pokrętna logika... Bo jak się mam nastawiać z góry na przegraną, to jaki sens w próbowaniu? Jakoś tego nie łapię – westchnęła uspokojona już Matylda. Z nią było tak zawsze, gwałtowne emocje musiały znaleźć jakieś ujście, i jeśli tylko udało jej się wywalić wszystkie żale, natychmiast wracała do równowagi. – Wiesz co, Żabcia? Strasznie mi pomogłaś, dzięki przeogromne, już mi lepiej. To ja ci już nie będę przeszkadzać, bo mam zamówienie na setkę bułeczek i muszę je do jutra zrobić. To pa, całuski.

'Ach, ta Matylda!' – roześmiała się w duchu Michalina. Na szczęście tym razem obeszło się bez terapii z czerwonego wina, na którą akurat nie miała jakoś zbytnej chęci.

*

Ostatnia z kompletu, Marianna Gawarek, niska, ognistooka brunetka o urodzie śródziemnomorskiej i podobnym temperamentem, siedziała właśnie wewnątrz wanny w kolejnym żydowskim mieszkaniu, patrząc z nienawiścią na – mówiąc delikatnie – zafajdane kafelki i klnąc w żywe kamienie własny upór. Gdyby nie była taka honorowa, nie musiałyby teraz skrobać tego cholerstwa. I pomyśleć tylko, że mogłaby się teraz wylegiwać na słońcu Florydy w jakimś drogim kurorcie zamiast tyrać jak niewolnica za marne grosze na Borough Parku.

- Jasne – powiedziała sama do siebie, szorując szczoteczką do zębów szerniałe fugi. – I co byś potem dziecku powiedziała? Że mamusia boi się ciężkiej pracy, dlatego ma co tydzień innego wujka, tak? – spojrzała z odrazą

na swoje odbicie w wielkim lustrze i otrząsnęła się.

Za kilka godzin stąd wyjdzie, odbierze synka z przedszkola i pójdą do parku, pobiegać i pograć w piłkę. O ile starczy jej energii, oczywiście. Gdyby tylko włączyli klimatyzację, byłoby jej łatwiej. Ale te skąpiradła chyba nigdy nie używały centralnej klimy, na którą musieli wydać majątek i pewno dlatego teraz tak marnie jej płacili. I jeszcze ten idiotyzm z przyzwoitym ubraniem: długie spodnie i bluzka na długi rękaw w środku upalnego lata. Coś nieprawdopodobnego, żeby w XXI wieku gdzieś jeszcze istniało takie zacofanie, a co dopiero w jednym z największych miast świata, centrum kulturalnym USA, podobno.

Już pierwszego dnia jej pracodawczynie zapowiedziała, że musi się ubierać „humble” (*ang.* – *skromnie*) ze względu na jej męża. Którego notabene nie widziała jeszcze nigdy na oczy, choć pracowała już dla nich od kilku miesięcy. Kiedy wspomniała o tym Frimi, ta odpowiedziała, że mąż przecież w każdej chwili może po coś wpaść do domu i ona nie życzy sobie, żeby oglądał rozneglizowane kobiety. Jakby nie oglądał setek prawie gołych bab w telewizji oraz kolejnych kilku setek na ulicach Manhattanu, gdzie pracował. Takiego zakłamania nie widziała nigdy w życiu. I pomyśleć, że kiedyś zakłamaniem wydawało jej się niedzielne chodzenie do kościoła i urządzenie awantur zaraz po powrocie, jak to bywało w wielu rodzinach na jej podwórku, u takich na przykład Grodzinków. O, ci to mieli temperamenty! Podobno oboje już zresztą wykończyli się przez chłanie wynalazków... Pewno teraz na podwórku jest o wiele ciszej – pomyślała nagle smętnie.

Czasami tęskniła za tym bagienkiem, za starymi kamienicami i zaśmieconym podwórzem, nawet za tymi wścibskimi sąsiadkami. Tam też jakby czas się zatrzymał. Świat wokół szedł do przodu, choćby nawet i powoli, a wśród mieszkańców podwórka na Skalskiej zmian niewiele. Tak

przynajmniej twierdziła jej dawna przyjaciółka od serca, Kaśka.

Zresztą ostatnio jakoś im się ta przyjaźń nie kleiła. Kaśka nie dała jej zbyt wiele wsparcia w trudnym okresie ciąży, kiedy Marianna borykała się z samotnością w wielkim, obcym mieście i przerażeniem, pracowała ciężko po wiele godzin dziennie pomimo rosnącego brzucha i modliła się, by nie stracić tego dziecka. A potem jeszcze miała żal, że Marianna nie miała dla niej czasu, gdy tamta zaplątała się po raz kolejny w dwa związki jednocześnie i przeżywała dramaty miłosne i wielkie uniesienia. Cóż, Marianna miała swoje troski i kłopoty. Pieniądzy z trudem starczyło jej na pierwsze sześć tygodni po porodzie, musiała więc szybko stanąć na nogi, znaleźć tani żłobek i wrócić do pracy. Nie miała ani czasu ani energii na pogaduszki przez telefon, chodząc wiecznie niewyspana i przemęczona, a dodatkowo jeszcze ta różnica sześciu godzin. No a kiedy wreszcie przemogła się jakoś i zaczęła odzyskiwać dawną energię, zadzwoniła do Kaśki po to tylko, by usłyszeć, że tamta się na niej zawiodła, że przyjaźń trzeba pielęgnować i w ogóle. Się odezwała ta, co strasznie tę ich przyjaźń pielęgnowała... Dlatego też teraz ich kontakty były sporadyczne i niezbyt ciepłe.

Całe szczęście spotkała na swojej drodze Michalinę i jej kumpele, i to one właśnie pomogły jej się pozbierać i ogarnąć całość. To one zaciągnęły ją na aerobic i jogę, jednocześnie zawsze któraś zajmowała się małym. To one pomogły jej znaleźć dobre, tanie przedszkole. I tanie mieszkanko. Pomogły jej też w uzyskaniu, niewielkich co prawda, ale jakże przydatnych, alimentów od tego palanta, ojca Kubusia. To one pomogły jej przetrwać najgorsze chwile, gdy wszystko wskazywało na to, że mały może być nieuleczalnie chory, co na szczęście okazało się pomyłką, ale chyba by zwariowała, gdyby nie ich nieustanne wsparcie i przyjaźń.

I to one teraz pomagały jej pozamieniać kiepsko płatne prace na lepsze i przy tym lżejsze. Miała nadzieję, że już niedługo będzie mogła powiedzieć

„bye-bye” także Frimi, u której praca przypominała prace Syzyfowe. Ilekroć udawało jej się uporać z dotychczasowym zakresem prac w tych pięciu godzinach, piekielna Frimi wynajdowała kolejne zajęcia, twierdząc za każdym razem, że w ciągu pięciu godzin dobra sprzątaczką powinna być w stanie zrobić więcej niż to, co ona robi. I tu oczywiście biedna Marianna za każdym razem dawała się złapać na ambicję, doginała jak mały motorek, żeby się wyrobić w czasie, tylko po to, by następnym razem dostać kolejną „dodatkową” robótkę.

Najchętniej powiedziała by tej paskudzie, żeby sobie tę swoją pracę wsadziła w cztery litery. Niestety, życie drożało, a Kuba właśnie wyrastał z ubranek i czekały ją wkrótce zakupy odzieżowe, na które, nawet kupując na eBayu i Craigu, należało przeznaczyć przynajmniej jedną tygodniówkę.

Dopóki nie wpadnie jej nic lepszego, musi znosić tę ropuchę i trudno.

A mogłaby prażyć się na słońcu Florydy... Nie, nie mogłaby. Jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić, że zostaje panienką do towarzystwa jakiś nadętych buców. I że musi znosić z uśmiechem awanse tłustych paluchów i obleśnych, śmierdzących cygarami ust. Choć raz była już bliska podjęcia tej decyzji. Wtedy, kiedy wszystko wskazywało na to, że Kubuś jest ciężko chory i żadne ubezpieczenie dla ubogich nie pokryje nawet połowy kosztów leczenia. Gdyby nie dziewczyny, a szczególnie Michalina z tym jej zdroworozsądkowym podejściem, to kto wie, może rzeczywiście smażyłaby się teraz na słońeczku. A Kubusia widywałaby raz na kilka tygodni. Na szczęście zobaczy go już za kilka godzin – uśmiechnęła się do siebie. Cóż warte byłoby jej życie bez tego małego promyczka. To właśnie dla niego tak ciężko harowała, by zapewnić mu jako takie życie teraz i by odłożyć choć minimalne fundusze na jego przyszłe kształcenie. Niech przynajmniej on ma coś z tego życia.

Zresztą nie miała przecież dokąd wracać. Po śmierci babci spółdzielnia odebrała mieszkanie, które było przecież własnością wspólnoty. Gdyby była wówczas w Polsce, może mogłaby coś wywalczyć, a tak sąsiedzi zeznali, że nie mieszka tam już od lat i sprawa się rypla. Ilekroć myślała o babci, serce jej pękało. Obiecywała jej przecież, że wróci, że jedzie tylko zarobić trochę grosza, żeby się mogły wreszcie wynieść z tamtej nory i zacząć jakieś lepsze, normalniejsze życie. Kiedy zakochała się jak nastolatka, chciała babcię ściągnąć do siebie, ta jednak wymawiała się przywiązaniem do miejsca i zbyt zaawansowanym wiekiem jak na przeprowadzki, szczególnie na inny kontynent, nie wspominając ani słowem o swojej ciężkiej chorobie. A potem umarła nagle, we śnie, akurat wtedy, gdy zbyt zaawansowana, problematyczna ciąża nie pozwalała Michalinie na lot samolotem. Babcia nie chciała jej martwić złym stanem zdrowia, ona z kolei nie wspominała nic o swojej ciężkiej sytuacji, o tym, że George zostawił ją bez środków do życia w dniu, gdy dowiedział się o ciąży, zabierając przy okazji wszystkie wspólne oszczędności. I tak sobie tych zmartwień oszczędzały, że nie miały nawet okazji się pożegnać.

Marianna poza babcią nie miała nikogo bliskiego. Jej rodzice zginęli w zupełnie idiotycznej katastrofie samochodowej i do dziś nie potrafiła im tego wybaczyć. Po co ojciec siadał za kierownicą po kilku głębszych wypitych na jakimś przyjęciu? Dlaczego matka nie potrafiła mu tego wyperswadować i na dodatek pojechała z nim? Tego nigdy się nie dowie. Babcia mówiła, że po prostu chcieli wrócić do domu, do swojej ukochanej córeczki, ale ona jakoś nie mogła tego zrozumieć. Gdyby ją naprawdę tak bardzo kochali, byłiby mądrzejsi i zostali na noc u tych znajomych.

Spojrzała nagle na wykonywaną pracę i ku swojemu zaskoczeniu spostrzegła, że właśnie skończyła czyścić ostatni upiorny kafelek. Spojrzała na zegarek. O nie, ona sobie tu chwilkę jeszcze posiedzi. Czasu ma akurat tyle, żeby zdążyć z całą resztą, prawie. I dobrze. Niech Frimi wie, że już nic więcej

się wepchnąć po prostu nie da. Fizycznie niemożliwe. Muszę być asertywna – postanowiła nagle. – Przecież za te pieniądze ona i tak nie znajdzie nikogo lepszego, poza tym jest za leniwa, żeby szukać.

*

Matylda wyjęła z tosterka ostatnią porcję miniaturowych bułeczek, odpędzając przy okazji okazałego białoszarego kocura, Barnabę.

- Dzięki za komplement, Barni. Skoro wydają ci się apetyczne, znaczy udały się. Niestety, modelina nie figuruje na liście kociego żarcia.

Barnaba rzucił ostatnie tęskne spojrzenie w stronę maciupeńkich obiektów, które jego zdaniem wyglądały jak uśpione robaczki i jako takie nadawałyby się wręcz idealnie na posiłek dla każdego szanującego się kota, ale jak nie to nie, on się prosił nie będzie. Oddalił się więc statecznym krokiem w stronę sporego kociego „drzewka”, na które Matylda swego czasu wydała okazałą sumkę i które zajmowało mniej więcej jedną trzecią jej salonu, i starannie dbając o zachowanie obrażonej godności rozpląszczył swe okazałe cielsko na pierwszej półce, zbyt leniwy, by wdrapywać się wyżej.

Jego pani zachichotała pod nosem, widząc tę demonstrację. Sprawdziła, czy wcześniej pomalowana bezbarwnym lakierem porcja bułeczek już wyschła, odstawiła świeżo upieczone do wystygnięcia i zadowolona z postępów pracy usadowiła się przed komputerem. Oczywiście najpierw sprawdziła stan swojego sklepika internetowego i ku swojemu zaskoczeniu odkryła kolejne trzy okazałe zamówienia. Dobrze jest – pomyślała, notując na kartce towary, które wymagały uzupełnienia. Po czym postanowiła sprawdzić swoją prywatną pocztę mailową. Dla ułatwienia życia założyła sobie dwa oddzielne konta, jedno na sprawy związane z pracą, drugie

na prywatną korespondencję. I oczywiście w prywatnej skrzynce znajdował się mail od mamy. Podświadomie już nastawiając się na atak, otworzyła go z pewną niechęcią i nie myliła się:

„Drogie Dziecko!

A cóż Ty najlepszego wyprawiasz???? Napisz do nas koniecznie, bo my się tu z Tatą strasznie denerwujemy, że Ty jakiś głupot narobisz.”

- Jasne, przecież zawsze tylko głupoty mi w głowie – prychnęła pod nosem Matylda, zastanawiając się, czy w ogóle jest sens dalej czytać, skoro już i tak się łatwo domyśleć pozostałej treści. Pogłaskała Frytkę, która właśnie wskoczyła jej na kolana i zwinęła się w kłębuszek złotego futra, przyjemnie pomrukując.

„Podobno rzuciłaś pracę i zajęłaś się produkcją zabawek dla dzieci czy czegoś takiego. Ja tam się nie znam, ale Tata mówi, że nic dobrego z tego nie wyniknie. I do tego namówiłaś ciotkę Luizę, żeby sprzedała działkę i dała Ci część pieniędzy. No, ja nie wiem, czy to tak wypada... ale trudno, już się nie odstanie. Chociaż szkoda, bo jakby co, mogłabyś sobie na tej działce ładny domek pobudować.”

- Skąd oni czerpią te informacje? – zapytała koty Matylda, ale wszystkie cztery popatrzyły na nią wymownie. – Tak, chyba z tego samego źródła, co ta idiotka redaktorka, hehe.

„Mamy tylko nadzieję, że chociaż szkoły nie rzuciłaś i że się opamiętasz,

zanim przetracisz wszystkie pieniądze od cioci.

A jeszcze podobno przygarnęłaś kolejnego kota. Ty się, dziecko, lepiej opamiętaj.

Całujemy. Mama i Tata”

- O Matko jedyna – westchnęła Matylda. – Tylko tego jeszcze było mi do szczęścia brak... Dobra, muszę się skupić. W takich sytuacjach czasami ciężko pamiętać, że najbliżsi dobrze nam życzą i chcą dla nas jak najlepiej - wymruczała, wstając od stołu i udając się do kuchni. Pomyślała, że to dobry moment, by nakarmić koty i zrobić sobie duży kubaś smacznej herbaty ziołowej, najlepiej uspokajającej, z miodkiem i cytrynką.

Kiedy zasiadła do komputera ponownie, jakiś kwadrans później, miała już w pełni gotową i przemyślaną konkretną, acz uprzejmą odpowiedź:

„Kochani!

Nie musicie się o mnie martwić, naprawdę.

Szkoły nie rzuciłam i rzucić nie zamierzam, bo wiza studencka jeszcze mi miła, a bez obecności na zajęciach leżę i kwiczę. Więc ta opcja nie wchodzi w grę.

Co do cioci Luizy, to sama mi zaproponowała taki właśnie prezent na moje 25-e urodziny, ponieważ nadarzył jej się bardzo dobry klient na działeczkę, który słono za nią zapłacił, bo zależało mu na kupnie dwóch dodatkowych działek sąsiadujących z jego posesją i ciocina była akurat jedną z nich.

Postanowiłam, przy aprobacie cioci, spróbować swoich sił

i sprawdzić, czy mogę zarobić trochę na robieniu tego, co lubię. Jeśli mi się powiedzie, super, mam nowy zawód i ciekawą przyszłość. Jeśli nie, trudno, poszukam „normalnej” pracy. Co do pieniędzy to staram się być bardzo ostrożna i nie przetracić wszystkiego. Ale chodząc do szkoły i pracując w biurze tak jak dotychczas, nie miałabym wystarczająco dużo czasu, by zająć się wyrobem miniatur na serio.

I to nie są zabawki dla dzieci, już Wam to przecież tłumaczyłam. To taki specyficzny rodzaj modelarstwa. W skali. Na poważnie. Nie do zabawy.

A co do kotki, to ma się dobrze, ale była bardzo chora i zwyczajnie nie mogłam jej zostawić na pastwę losu. Moi gospodarze wiedzą, że mam koty i dawno przestali wnikać w ich ilość. Póki nie śmierdzi, im nie przeszkadza – tak powiedzieli.

Ucałowania. Wasza niepoprawna córka.”

- No, to by załatwiło sprawę – westchnęła, patrząc z czułością na Frytkę, o której życie walczyła przez ponad dwa tygodnie, ale warto było. Kociczka okazała się dobrze ułożoną i niezwykle ciepłą istotą, którą pozostałe koty przyjęły w swoje grono z zaskakującą sympatią.

*

Marianna z ulgą powitała informację, że Kubuś jest głodny i w związku z tym gotów na małą przerwę.

Z westchnieniem odczekała aż samodzielny malec wdrapie się na siedzenie wózka i wyjęła z torby jogurt oraz batonik zbożowy, dwa ulubione smakołyki Kubusia. Czuła się kompletnie wypompowana po całym dniu pracy

u poganiaczki niewolników zwanej Frimi i prawie godzinnej gonitwie po mostkach i schodkach na placu zabaw.

Kiedy Kuba z apetytem pałaszował jogurcik, jej uwagę zwróciła scena rozgrywająca się przy sąsiedniej ławce. W wózku siedziała drobna, mniej więcej trzyletnia dziewczynka i gwałtownie protestowała przeciwko wciskanej w jej usta łyżce z jedzeniem, płacząc i krzycząc na przemian. Łyżka zakończona była mamusią, na oko jakieś dwieście kilo żywej wagi, zajmującą mniej więcej dwa miejsca na ławce (szczególną uwagę zwracały nieludzko wielkie uda rozlane na tejże ławce) i wrzeszczącą po angielsku na dziewczynkę:

- Chcesz jeść, jesteś głodna! To pora na przekąskę! Jak nie zjesz, nie pójdziesz się bawić! Jesteś głodna, wiem, że jesteś! Zawsze o tej porze dostajesz przekąskę! Jak nie zjesz, wracamy do domu. No, już, jedz!

Tymczasem mała odwracała głowę, krzycząc rozpaczliwie. A to, co matce udało się wcisnąć w zaciskane kurczowo usteczka, natychmiast lądowało na ziemi.

- Może po prostu dzieciak nie jest głodny – wymamrotała pod nosem Marianna. Sama nie znosiła, gdy ktoś udzielał jej nieproszonych rad, ale tym razem sytuacja aż się prosiła o jakąś interwencję. Z drugiej strony unikała raczej kontrowersji z Amerykankami, które często były dość agresywne i nie znosiły krytyki.

- Słucham? – warknęła mamusia, która jednak, o dziwo, usłyszała słowa Marianny poprzez cały ten wrzask. – Coś mówiłaś? Do mnie?

- Dzieci mają wrodzony instynkt, a karmienie na siłę i o narzuconych z góry porach zabija w nich zdrowy stosunek do jedzenia i tracą kontrolę nad własnym głodem i sytością – wyrecytowała mocnym głosem Marianna, oczekując jednocześnie ciosu wielkiej piąchy.

Nic takiego jednak nie nastąpiło.

- Dzieci nie wiedzą, czego chcą – sapnęła tamta. Patrzyła jednak przy tym w stronę Marianny z pewnym zaciekawieniem. – Moja matka mnie tak wychowywała i jakoś wyszłam na ludzi – dodała jeszcze z dumą.

„Nawet na dwie osoby, co najmniej” – pomyślała z niesmakiem Marianna. Zasadniczo nie miała uprzedzeń w stosunku do ludzi o większych gabarytach, ale coś jej mówiło, że siedząca obok kobieta nie jest szczególnie zadowolona ze swoich wymiarów, a jednocześnie jest na najlepszej drodze do wpakowania swojej córeczki w podobnie niewesołą sytuację. O ile różnorodność rozmiarów i kształtów dodawała populacji ludzkiej uroku, o tyle w niektórych przypadkach nadmiar był po prostu nadmiarem.

- Nie lubię się wtrącać, ale wyraźnie widać, że mała nie chce jeść. Może nie jest jeszcze głodna albo jej coś dolega – kontynuowała więc nieśmiało, jednocześnie zastanawiając się, co by na ten temat powiedziała Żabcia.

- Ale sama widzisz, jakie to chucherko. Ona prawie nic nie je – jęknęła mamusia dziewczynki. Najwyraźniej coś jednak ją gryzło, tylko nie miała z kim o tym pogadać. – Ty to masz dobrze – zerknęła przy tym na zdrowo wyglądającego Kubusia, wcinającego z rozanielonym uśmiechem batonik zbożowy. – Mały pałaszuje, aż miło popatrzeć. I o właściwej porze. Co ile godzin go karmisz? – zapytała na koniec z ciekawością.

- Kiedy jest głodny – odparła zgodnie z prawdą Marianna, niepomierne zaskoczona przebiegiem tej rozmowy. – Nawet kiedyś próbowałam go przestawić na regularne posiłki co trzy godziny, ale na szczęście nie chciał współpracować, a ja się w porę opamiętałam.

- Jak to? – spytała zaskoczona mamusia. Od kiedy wdała się w pogawędkę z Marianną, zaprzestała wysiłków, by nakarmić córkę, która teraz z zadowoloną miną bawiła się obok ławki. Jakoś nie wyglądała na bliską śmierci

głodowej.

- No tak, człowiek rodzi się z naturalnym, zdrowym podejściem do jedzenia. Chce jeść, kiedy jest głodny, je tyle, ile mu potrzeba. I jak pozwolisz dzieciakowi jeść tak, jak on chce, i przyjrzesz się uważnie, to zauważysz, że jednego dnia nie zje prawie nic, ale następnego zje trzy razy tyle co zwykle. Nie ma obaw. Małe dziecko ma silny instynkt przetrwania i na pewno się nie zagłodzi. I o ile nie ma zaburzeń gospodarki wewnętrznej, niedożywienie i anemia też mu nie grożą – Marianna poczuła się, jakby głosiła jakąś rewolucyjną teorię, ale sporo na ten temat czytała i wiedziała, że na poparcie tego, co mówi, istnieją bardzo silne dowody naukowe i wyniki niezliczonych badań. Widząc zainteresowanie na twarzy rozmówczynie, kontynuowała z przekonaniem: - Określone pory posiłków to wytwór cywilizacji i, choć socjalnie i społecznie uzasadniony, zupełnie niezgodny z naszą naturą.

- A tak po ludzku? – zapytała nagle matka, uświadamiając Mariannie, że trochę ją poniosło.

- A tak po ludzku – odpowiedziała więc z uśmiechem – to jak był malutki, dawałam mu jeść tak często, jak chciał i nigdy nie wpychałam butli na siłę, bo akurat jest pora posiłku albo żeby dopił do końca, bo powinien wypić tyle i tyle na raz. I później z normalnym jedzeniem to samo. Dostaje jeść wtedy, kiedy daje mi znać, że jest głodny i tyle, ile chce. Jeśli nie chce groszku czy zupki, trudno, odpuszczam. Jeśli chce ciasto marchewkowe, które bardzo lubi, nie ma problemu, dostaje. Troszkę. Kilka małych kawałeczków, takich na kęs. I nie na zasadzie: jak zjesz obiadek, to dostaniesz ciasto.

- Ale to przecież taki dzieciak jadłby tylko czekoladę – wtrąciła mamusia.

- Właśnie o to chodzi, że nie. Jeśli ma ochotę, zje kawałek ciasta czy czekoladki albo nawet dwa, ale jak już ma dość, a najczęściej wystarcza mu naprawdę

kilka kęsów, to zostawi nawet najbardziej ulubiony smakołyk. Żadnego zjadania do końca, na siłę.

Mamusia dziewczynki wpatrywała się w Mariannę jak zahipnotyzowana. W tym momencie Kubuś odłożył na tackę jedną piątą swojego batonika i pobiegł bawić się dalej, dając tym samym znać, że on już skończył jeść.

*

- Sabinko! – rozległ się radosny głos Piotrka w korytarzu. – Gdzie jesteście?

- O cho, mamy do Sabinki interesik – mruknęła pod nosem Sabina, nie podnosząc nosa znad czytanej książki. – Ciekawe, co to jest tym razem? Trzydniowa delegacja, na którą potrzeba świeżo uprasowanych koszul czy może wystawna kolacja, na którą ona będzie musiała wcisnąć się znowu w jakąś okropną, niby elegancką kieckę, których kilka kupiła za namową Piotrka i których nienawidziła serdecznie.

- O, tu jesteście! – wykrzyknął radośnie, wkraczając do sypialni.

Popatrzyła w jego stronę z mieszaniną dawnego uczucia i skrywanej niechęci. Wysoki, prawie metr dziewięćdziesiąt, ciemny szatyn o wyrazistych oczach i mocno zarysowanej szczęce – mógł się podobać kobietom. Ba, przecież dlatego się w nim zakochała od pierwszego spojrzenia...

- Będziemy mieć dziś gości – oświadczył on tymczasem lekko.

- Mogłam się domyśleć – wymamrotała do siebie, po czym już do niego, głośniejszym głosem – Rozumiem, że mam przygotować kolacyjkę? Na ile sztuk?

- Hej, a coś ty taka oficjalna? – zatrzymał się nagle w połowie drogi do łazienki i przyjrzał żonie nieco uważniej. – Stało się coś?

- To zależy, jak na to spojrzeć – westchnęła znów do siebie, po czym już na jego użytek naciągnęła na twarz sztuczny uśmiech. – Nie, skądże, zamyślona byłam i tyle. Więc co z tą kolacją? Ile sztuk, co piją i co do jedzenia?

- Dziwna jakaś jesteś - stwierdził z zamyśleniem Piotrek, co nieco ją zaskoczyło. Jakoś nigdy wcześniej nie dostrzegał jej nastrojów, co więcej, nie interesowało go raczej jej samopoczucie. – To tylko kumpel z pracy z narzeczoną. Nic oficjalnego. Piwo i rum mamy. Wystarczą orzeszki i chipsy.

- Nie no, coś ty! – opamiętała się nagle Sabina. – Jakby to wyglądało? Zrobię jakąś smaczną sałatkę chociaż. Na którą przychodzą? Siódma? Hm, mało czasu, do sklepu już nie zdążę, ale coś się wymyśli – zajęła się przygotowaniami. Przynajmniej czymś się zajmie i przestanie rozmyślać o tamtej sprawie..

*

- No i wyobraź sobie – opowiadała Michalinie z przejęciem Marianna – ta matka zaprosiła mnie do ich grupy. Bo one, rozumiesz, mają taką grupę mam. Z sąsiedztwa jakby. I spotykają się co kilka dni w parku, a czasami u którejś z nich na grillu albo co...

- Nie chciałabym niszczyć twojego entuzjazmu – wtrąciła spokojnie Żabcia – ale kiedy ty znajdziesz czas na to wszystko?

- Hm, no właśnie to nie jest problem, bo one się spotykają popołudniami. Dzieciaki mają dodatkową okazję do zabawy, a mamy mogą sobie pogadać. I zdaje się, że rano na kawie się spotykają, jak kto ma czas. Bo to jednak nie ma jak pogaduszki między matkami. Ups, nie zrozum mnie źle, Michalinko, wy

wszystkie jesteście dla mnie cudowne, ale sama wiesz...

To akurat Michalina potrafiła doskonale zrozumieć. Choćby nie wiem, jak bardzo się starały, do rozmów o Kubusiu jako dziecku i całym związanym z tym faktem balastem typu zachowanie, żywienie i dyscyplina, to one wszystkie nadawały się mniej więcej tak, jak żyrafa do pływania w oceanie. Są tematy, które matka może poruszać tylko z innymi matkami. Kropka. I trzeba było przyznać, że Mariannie tego typu rozmów brakowało. Stąd brały się jej ataki paniki i bezsenne noce, kiedy zastanawiała się, czy jakieś zachowanie Kubusia to tylko normalny przejaw kolejnego etapu rozwojowego czy może pierwszy objaw autyzmu. A czytanie tych cholernych książek dla matek tylko pogarszało sprawę. Michalina nie miała pojęcia, kto te bzdety pisał, ale chyba nikt normalny. Przecież po przeczytaniu jednej takiej pozycji każda normalna osoba powinna skonać z nadmiaru trosk i wątpliwości.

Któregoś dnia zebrały się we cztery i wywaliły jej te wszystkie książyska i pisemka. Potem zapisały ją na grupę wsparcia dla świeżych mam, no i jakoś się trochę opanowała, choć nadal potrafiła zadzwonić z paniką w głosie i zadawać pytania, na które Michalina nijak nie potrafiła jej odpowiedzieć.

Więc może to nie jest taki zły pomysł – pomyślała teraz Żabcia.

- A wiesz, że to brzmi nawet niegłupio – powiedziała do przyjaciółki. – O ile babeczki są sensowne...

- Chyba tak. Bo ja myślałam, jak się odezwałam, że ona mnie zwyczajnie lunie, żebym się nie wtrącała – wyznała Marianna. – A ona nie. I nawet wydawała się zainteresowana tym, co mówię.

- Bo niegłupio gadasz, wiesz – powiedziała lekko Michalina. Wiedziała doskonale, jak bardzo Marianna jest zamknięta w sobie i z jakim trudem przychodzi jej jakikolwiek kontakt z nowo poznanymi osobami.

W duchu musiała sobie pogratulować. Była pewna, że oto właśnie uwidaczniały się efekty jej ciężkiej pracy psychologicznej z panną Gawarek. Jakże była ona daleka od dawnej siebie, zastraszonej, przerażonej i przekonanej o swoim braku jakiegokolwiek wartości. W dużym stopniu stan ten zawdzięczała intensywnym wysiłkom tego dupka, ojca Kubusia (zawsze ja zadziwiało, jak to możliwe, że kompletne dupki płodzą takie fajne dzieciaki – a tak! Geny matki, to na pewno to), który przez cały okres trwania ich związku udeptywał ją bardzo starannie.

- Poważnie? No ja nie wiem, ale z Kubusiem to się sprawdza. Owszem, fakt, wielu rzeczy nawet nie chce wziąć do buzi i spróbować, ale ogólnie nie mogę narzekać. Szczególnie po tych wszystkich problemach.

A tych problemów było niemało – pomyślała Michalina. Ile przejść ta dziewczyna miała z tym małym to nie do uwierzenia. Ten odruch wymiotny, do tego nietolerancja laktozy i jeszcze lekarze, olewający sprawę zupełnie. No ale Kubuś wreszcie nauczył się gryźć praktycznie wszystko i zaczynał jeść w miarę normalnie, choć nadal wybiórczo, dzięki czemu Mariannie wyraźnie odpadło przynajmniej jedno zmartwienie. To w ogóle nie jest w porządku, żeby kobieta musiała się z takimi problemami szarpać sama. Tyle że z drugiej strony, gdyby ten cały Dżordżuś (jak go nazywały poza plecami Marianny) jednak nie odszedł

w siną dal i zachował się jak mężczyzna, to czy to byłoby dla dziewczyny lepsze? Zamiast jednego dziecka, miałyby na głowie dwójkę. Nie wiadomo, które bardziej nieodpowiedzialne i nieprzewidywalne. A tak ma jeszcze dziewczyna szansę. Może jeszcze spotkać kogoś porządnego, kto ją pokocha tak, jak na to zasługuje i ułoży sobie życie, jak trzeba.

- Więc ja się z nimi spotkam pojutrze i zobaczymy, co z tego wyniknie – kontynuowała Marianna.

- I bardzo dobrze – poparła ją Michalina.

Pogadały jeszcze chwilę. Tak w sumie o niczym, jak to przyjaciółki. Kiedy się rozłączyły, Michalina rozejrzała się po swoim ascetycznym w sumie mieszkanku. Mieszkanku, które mogłoby należeć do kogokolwiek, tak bardzo było bezosobowe. Obiecywała sobie przecież, że długo tu miejsca nie zagrzeje. Tymczasem tkwiła w tym miejscu, w tym mieście, w tym mieszkaniu... i zaczynała odnosić wrażenie, że chyba utknęła tu na dłużej i że skoro tak, to może by wreszcie coś tu zmienić...

Jej wielkim marzeniem życiowym były podróże, zwiedzanie świata, próbowanie wciąż czegoś nowego, i już od jakiegoś czasu marzenie to realizowała.

Była we Francji, w Grecji, Hiszpanii i kilku innych państwach Europy, potem zahaczyła o Australię, ale klimat jakoś jej nie pasował, zawitała nawet do kilku państw afrykańskich, no a potem trafiła do Nowego Yorku, planując wizyty w wielu innych miastach i regionach Stanów, a potem Kanadę.

Tyle tylko, że tkwiła już w NY czwarty rok i nic nie wskazywało, żeby miała szybko się stąd ruszyć. Bycie pisarką miało swoje zalety, choć finansowo bywało krucho. Ale bywały i dobre chwile. Zresztą zawsze miała dodatkowe fuszki. A to jakiś artykułek do tej gazety, a to do tamtej. Hę, doświadczenia z prasą też ją sporo nauczyły, dlatego uprzedzała Matyldę, by nie była zbyt naiwna. Dziennikarze to dość specyficzna społeczność, nastawiona raczej mało przychylnie do każdego, kto może stanowić jakiegokolwiek zagrożenie, czy to w kontekście konkurencji czy w kontekście oburzonej ofiary wolności słowa.

W każdym razie wyglądało na to, że szybko się stąd nie ruszy. I nagle uświadomiła sobie, że wcale ją to nie martwi. Bo chyba po raz pierwszy w życiu czuła się naprawdę potrzebna. Wiedziała, że jest potrzebna swoim zwariowanym przyjaciółkom i, że choć bez niej one oczywiście też jakoś sobie poradzą, to właśnie ona jest w stanie i chce im pomóc. I że one tej pomocy

potrzebują.

A jej cynizm wobec świata był po trosze prawdziwy i po trosze pozowany. Ona przecież wciąż miała nadzieję, że świat nie jest aż taki zły i że jeśli się postarać, to można zrobić wiele dobrego.

Jeszcze raz rozejrzała się po swoim mieszkanku, małym i wygodnym, ale nie przystającym nijak do koncepcji gniazdka czy też szeroko rozumianego domu.

- W tej akurat kwestii to ty sama potrzebujesz pomocy, moja droga – powiedziała do siebie, postanawiając, że nadszedł czas na zmiany.

*

- No i sama widzisz – perorowała do prawie nieobecnej Sabiny wylokowana narzeczona kolegi Piotrka. Na imię miała Anita, jakieś dwadzieścia centymetrów wzrostu więcej niż Sabinka, o wiele mniej centymetrów wszędzie indziej, z wyjątkiem biustu oczywiście i prezentowała poziom intelektualny ameby. – Ta nowa praca to może być wyzwanie, ale ja naprawdę nie wiem, jak ja to Kirsten powiem... przecież ona się załamie.

Sabina pociągnęła niewielki łyżeczek rozwodnionego wina (tak na wszelki wypadek) i przyjrzała się otoczeniu. Jej własny małżonek grał właśnie w jakąś grę wyścigową na kompie z dziwnym nieco kołesiem o imieniu Ksawuś, włosach do pasa i monstualnych rozmiarów ego, a ona została rzucona na pastwę ameby. Niemrawo pogmerła w swojej porcji sałatki i spojrzała pytająco na rozmówczynię: - No wiesz, skoro tak bardzo lubisz tę pracę, to może nie powinnaś odchodzić?

- NO ale coś ty! – obruszyła się tamta. – Nie można się przywiązywać do pracodawców, prawda? A to jest przecież jednak awans, nie? Z opiekunki do dzieci na sekretarkę, jakby nie było. Ja tylko nie wiem – tu zatrzepotała wymownie rzęsami, co zniesmaczyło Sabinę do tego stopnia, że nie wiedziała, czy aby zaraz nie zwymiotuje – czy on nie chce mnie zatrudnić tylko i wyłącznie dlatego, że jestem reprezentacyjna....

'A niby dla czego innego?' – pomyślała z rozbawieniem Sabina. – 'Przecież chyba nie dla niepowtarzalnych walorów twojego mózgu???? No, chyba że to naukowiec i lubi badać dziwne zjawiska' - zachichotała w duchu, po czym tonem wymuszenie poważnym odparła:

- No, masz rację, musisz być ostrożna, wiesz jak to jest w dzisiejszych czasach.... Zobaczą kobitkę i przestają myśleć, a wszystkie nasze intelektualne atuty pozostają pominięte..

- No właśnie, no właśnie. Ty to kumata laska, Sabinka, jesteś – przytaknęła Anita, a przerażona Sabina zastanawiała się tylko, czy tego typu komplement nie świadczy przypadkiem o tym, że właśnie zaczęła się umysłowo staczać. – To ty może byś popytała koleżanki, może by któraś wzięła po mnie tę robotę. Dobrze płatne, nie za bardzo wymagająca szefowa, można się dogadać, wiesz, i nawet nie chcę kasy, bo mi ich tak szkoda zostawiać na lodzie.

Sabina wyraziła zgodę, mając niejasne wrażenie, że z każdego kretyństwa może wyniknąć coś dobrego.

- A w ogóle to wiesz – kontynuowała tymczasem Ariadna czy jak ją tam zwali. – Ty to masz jednak farta, taki fajny facecik ci się trafił, a ten mój, no sama tylko popatrz....

No owszem, Sabinka popatrzyła, jakby było na co. Znaczy nie, tak w ogóle Ksawuś gostek niezły, jakby tylko kołtuny zgolił, przestał się ubierać „markowo” za marne grosze i zmienił stosunek do świata. Jeden

z tych, co to nie on, komputerowiec i spec od wszystkiego, a na dodatek przemądrzały nie do wytrzymania. Sabinka kątem oka wychwyciła reakcje Piotrka na stwierdzenie Ksawusia, że on to im wszystkim jeszcze w firmie pokaże, bo oni go nie doceniają, a on naprawdę wiele potrafi. Piotrek zdusił w sobie wyraźny chichot i przybrał sztucznie poważny wyraz twarzy, kiwając przy tym z przejęciem. Talent aktorski to ten jej mąż jednak posiadał, musiała to przyznać. Niestety, nie było to spostrzeżenie napawające ją pozytywnymi odczuciami. Raczej wprost przeciwnie...

- No a w ogóle to – kontynuowała niczym niezrażona Anita - ja mam straszny dylemat. Bo wiesz, mieszka z nami, jakby przejściowo, przyjaciel Ksawusia, taki Marek. On mi się bardzo podoba i ja jemu chyba też... - mniej więcej w tym miejscu Sabinka wyłączyła świadomość i jakoś dotrwała do końca imprezki, potakując i zaprzeczając na przemian, nie mając pojęcia, o czym była mowa.

Gdzieś koło północy goście łaskawie opuścili ich domostwo i Sabina padła bez życia na kanapę. Czuła się dziwnie. Pomimo, że wypita naprawdę niewiele, nawet jak na siebie, czuła się lekko zamroczone i zmęczona, jakby właśnie załadowała kilka ton węgla do piwnicy.

Przyzwyczajony do full-service Piotrek dziwnie się na nią spojrział, widząc, że nie ma najmniejszego zamiaru sprzątać po imprezie. I ku jej olbrzymiemu zaskoczeniu sam się tym zajął.

'Jezu, on ma nową kochankę' – pomyślała z rezygnacją Sabina.

- Kotku, co ci jest? – zagadnął lekkim tonem, gdy skończył, co wzbudziło w niej jeszcze większe zaniepokojenie.

- Nic takiego – odpowiedziała spokojnie. – Ale istnieje możliwość, że jestem w ciąży.

- Co takiego? – spojrział na nią, jakby nie rozumiał, choć doskonale wiedział,

że zrozumiał. - To taki głupi żart, tak? W rewanżu za to, że zmusiłem cię do znoszenia towarzystwa tych imbecyli, tak?

- Skoro wiesz, że to imbecyle, po co ich zapraszasz? – odpaliła na to.

- Wiesz, jak jest.

- Nie, nie wiem. Nie mam pojęcia o niczym, o układach w twojej firmie, o twojej pracy, o niczym. Czułam się jak idiotka, bo ta ameba wie więcej o pracy tego swojego gigusia niż ja o twojej, a nawet nie są małżeństwem...

- Hm, akurat to, co ona wie, nie ma nic wspólnego z prawdą – chrząknął Piotrek.

- To nie ma nic do rzeczy – parsknęła rozeźlona Sabina. Jak zwykle, próbował odwrócić jej uwagę i to ją jeszcze bardziej zdenerwowało. – I nie, to nie jest głupi żart. Jest możliwe, że będziemy mieli dziecko – wypaliła.

- Słucham? – spojrzał na nią z wyraźnym zaskoczeniem.

- Przecież powiedziałam wyraźnie i to dwukrotnie! – krzyknęła na skraju desperacji Sabina. – Będziemy mieli dziecko, chyba... Jest jeszcze za wcześnie na test – spojrzała na niego z nadzieją. Niestety, to, co zobaczyła, zdecydowanie odbiegało od jej oczekiwań.

- Jeśli wyobrażasz sobie, że będę wychowywał czyjś bękarta, to jesteś w dużym błędzie – krzyknął, po czym trzasnął drzwiami i już go nie było.

Sabina w osłupieniu popatrzyła na zamknięte drzwi. Więc on myśli... Ale dlaczego? Przecież to nie ona szlaja się po dyskotekach i pubach, to nie ona wraca ze śladami szminki na kołnierzykach, to nie ona...Sabina przepłakała kilka godzin, po czym spakowała parę ciuszków i potrzebnych drobiazgów, myśląc rozsądnie, że zawartość garderoby i tak w najbliższym czasie raczej jej się nie przyda, zostawiła klucze od mieszkania na stole i pojechała taksówką do najbliższej przyjaciółki. Wróciła się tylko raz,

by zabrać zapisany przez Amebę na karteczce numer telefonu. Być może jednak komuś się ta znajomość przyda...

*

Grażka była zadowolona. Być może ktoś inny na jej miejscu nie uważałby, że ma powód do zadowolenia, ale kiedy usłyszała, że strata trzech prawie przeterminowanych francuskich serów, tanich krakersików i kilku piw, nie oznacza dla państwa Steinbach bankructwa, a co za tym idzie, wspaniałomyślnie są w stanie potraktować jej „niefrasobliwy wybryk” jako taką nietypową premię i nie potracą jej z pensji, poczuła się jak nowo narodzona. Problem ten spędzał jej sen z powiek, odkąd wrócili ze swojej wizyty, czyli od trzech dni.

Prawda była taka, że jakkolwiek by jej nie płacili, były to stałe pieniądze, które utrzymywały praktycznie całą jej rodzinę. Ona sama nie potrzebowała wiele. Przecież i tak tkwiła w tym „domiszczu” (przywodzącym na myśl sceny z jakiegoś strasznie kiczowatego filmu) praktycznie dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu, z wyjątkiem dni, kiedy dzieci miały jakieś dodatkowe zajęcia i czasami to ona musiała je tam zawieźć. Ale zwykle wyglądało to tak, że przez większość dnia trójka dzieci była w szkole, a potem na rozmaitych zajęciach pozalekcyjnych, gdzie dowożenie ich spoczywało na barkach szofera, a Grażka miała w tym czasie posprzątać, uprasować i ugotować, zajmując się jednocześnie rocznym synkiem państwa Steinbach i jakąś koszmarną ilością wiecznie głodnych psów, które należało karmić w określonych godzinach i wedle określonych diet. Wszystko to Grażynka miała opanowane na tip-top.

A przecież w przyszłym miesiącu siostra będzie rodzić i trzeba by jej jeszcze co

niecو dostać – pomyślała teraz rzewnie Grażka, mieszając risotto w garnku i trzymając jednocześnie na drugim biodrze rozwydrzoną, najmniejszą pociechę domu. Mały Kevinek potrafił być uroczy i słodziutki, szczególnie jak tatuś patrzył, co trafiało się niezbyt często, ale gdy była z nim sama, czasami wychodziło z niego małe diablę. Szybko jednak się zorientowała, że to małe diablątko to po prostu dziecko spragnione miłości i uwagi. I odkąd zaczęła z nim pracować, maluch zmieniał się nie do poznania. Oczywiście nadal bywał trudny, jak większość dzieci w jego wieku, ale widać było zmianę.

Nie uciekał już od ludzi z krzykiem, nie chował się pod stołem na dźwięk kroków ojca, choć nadal zbliżał się do niego raczej niechętnie. Zmiany były niewielkie i zajmowały wiele czasu, jednak sprawiały, że serce Grażki aż piało z radości.

Jeszcze kilka tygodni temu zamieszanie w garnku, trzymając go jednocześnie na biodrze byłoby niemożliwe, bo maluch krzyczałby, wiłby się i wrywał. Niebezpieczne i w ogóle fizycznie trudne do wykonania. Teraz z ciekawością zaglądał do garnków, przypatrywał się kolorowym warzywom, patrzył na jej twarz, kiedy tłumaczyła mu, co robi.

Prawda była taka, że Grażyna doskonale wiedziała, że ją wykorzystują, że płacą jej może połowę tego, na co zasługuje. Problem polegał na tym, że w dniu, w którym podjęła tę pracę, zakochała się w całej czwórce berbeci, choć miłość to była trudna.

Szczególnie najstarszy, Stephan, prawie już ośmiolatek, o żeby go... I najgorsze było to, że pozostała trójka była do wytrzymania tak długo, jak długo Stephana nie było w pobliżu. Przy nim jakby na wyścigi próbowali udowodniać, kto jest najgorszy, nawet malutki Kevinek dawał się ponieść, choć kompletnie nie rozumiał, co się dzieje.

Grażyna wiedziała, gdzie tkwi przyczyna i nie mogła nic na to poradzić. Państwo Steinbach kompletnie ignorowali swoje dzieci, które usilnie starały się zwrócić na siebie ich uwagę.

Wiedziała też, że całego świata nie zbawi, co Żabcia klarowała jej nieustannie. Wiedziała i wcale nie próbowała zbawiać tego 'całego świata', wystarczał jej niewielki kawałek.

- Ale być może uda mi się wychować tę czwórkę na dobrych ludzi – powiedziała jej wtedy. – Na dobrych, zdolnych do miłości i współczucia ludzi, którzy z kolei być może kiedyś pomogą komuś innemu. I tak to właśnie działa. Jak głupi łańcuszek szczęścia. Tylko, że to wcale nie jest głupie. Pamiętaj, co było w Piśmie? Jedna nawrócona owca jest ważniejsza od całego stada.

'Gdybym tylko miała więcej czasu' – pomyślała teraz, patrząc na słodką buźkę Kevina – 'sprawdziłabym, co z tobą jest nie tak i jakoś ci pomogła. Choć trochę, bo przecież twoja mama twierdzi, że wszystko jest „fine”, choć nie spędziła z Tobą więcej niż pięć minut od miesiący'.

Maluch w zasadzie wyglądał normalnie, ale widać było wyraźnie, że ma problemy z kontaktami z innymi dziećmi, że socjalnie się wycofuje. I wiedziała, że jest to coś więcej, niż wiekowo uzasadniony strach przed nieznanym.

- I co ja mam zrobić? – spytała rozpaczliwie, wpatrując się w oczka chłopca. – Twoi rodzice ledwo pamiętają, że istniejesz. Zresztą z twoim rodzeństwem jest nie lepiej. Ostatnio to ja wybierałam prezenty gwiazdkowe, bo oni nie mogli sobie przypomnieć, które dziecko ma ile lat, co chciało dostać i w ogóle jak mają na imię.

*

**To był tylko fragment powieści
Sylwii Wójcik pt. „Brooklińska piątka”.**

Chcesz poznać dalsze losy bohaterek?

Powieść znajdziesz tutaj:

www.sensownie.pl